

PIŁON

CENA 50 GR.

ROK V NR. 28 (197)

WARSZAWA

15 LIPCA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

MARIAN PIECHAL — MÓJ PROFESOR
KAZIMIERZ SOWIŃSKI — „KLEJNOT W KORONIE RZECZYPOSPOLITEJ”
ROMAN KOŁONIECKI — UROKI KRZEMIENIA
KSIĄŻKI — TEATR — PRZEGLĄD PRASY

AUGUSTYN JAKUBISIAK

MIT O MYŚLENIU NIETENDENCYJNYM

Poruszenie niniejszego tematu wydać się może zbyteczne w dobie obecnej. Wypadki bowiem ostatnich kilkunastu lat wykazały niezbieżność słuszności elementarnej zasady psychologii, głoszącej, że myślenie jest funkcją biologiczną człowieka i, jako takie, podlega finalizmowi. Finalizm ten implikuje prymat woli nad myślą. Podczas gdy decydujący wpływ wolnej woli przejawia się w coraz liczniejszych faktach życia ludzkiego, rola myśli, aczkolwiek ważna, okazuje się bardziej podrzędna: zadaniem jej jest uzasadnić i usprawiedliwić samorzutne zamierzenia i poczynania woli. Ideologie współczesnych przewrotów społecznych nie inną wykazują celowość: służą one do teoretycznego uprawnienia *post factum* wobec ogółu tego, co w praktyce dokonała wół dokonuje wola w jednostek. Krótko mówiąc, nie myśl, ale wola daje impuls działaniu ludzi, braniem w znaczeniu najszerzym: rolą myśli jest dostarczać woli skutecznych argumentów, usprawiedliwiających jej samodzielne poczynania.

Ten stan rzeczy znaną jest dziś znany, by się nad nim długo rozwodzić. Zławsza dla mnie osobiste zbyteczne jest obszerne zajmowanie się nim, jako że w większości prac i rozpraw moich bronię właśnie prymatu woli nad myślą. Kwestii tej poświęciłem całkowicie wydaną niedawno pracę moją francuską p. t. *La Pensée et le Libre Arbitre*¹.

A jednak mnie właśnie przypada w udziale niemily obowiązek ponownego omawiania tej sprawy. Obowiązek niemily, jako że wywodom moim muszę nadać charakter polemiczny. A mnie bynajmniej nie chodzi o polemikę, zwłaszcza z przeciwnikami tego typu, co mój krytyk z *Wiadomości Literackich*, p. Kazimierz Bleszyński. Oba jego sprawozdania z moich prac² wykazują tak głęboki brak elementarnej uczciwości sprawozdawczej i tak wyraźną złą wolę, że wszelką z nim polemikę uważałbym za stratę czasu. Toteż nie do p. Bleszyńskiego zwracają się niniejsze rozważania, ale do tych jego czytelników, którzy prac moich osobiste nie znając mogą na podstawie jego sprawozdań wyrobić sobie mylne pojęcie o zasadniczej myśli filozofii. Myśli tej bronić od wszelkich zakusów wypaczenia i zniekształcenia jest moim prawem i obowiązkiem.

P. Bleszyński krytykę zmierzając ostatecznie do afirmacji Boga. Prawdzie tego zarzutu nie można zaprzeczyć. We wszystkich moich ogłoszonych drukami pracach, we wszystkich odezdytach i przemówieniach, nie wylą-

czając wykładów jakie miałem w tym roku w Sorbonie, kwestia Boga zajmuje miejsce centralne. To właśnie postawienie kwestii Boga u kresu wszystkich zagadnień myśli ludzkiej poczytuje p. Bleszyński za największy szkopuł w moim myśleniu. Wprawdzie w sprawozdaniu jego spotykamy taki pogląd: „Bóg dla filozofa może być (czasem) tylko punktem dojścia, nigdy punktem wyjścia z pozycji na baczność”. Ze słów tych można by wnosić, że p. Bleszyński pozwala wspinałomyślnie umysłowi ludzkiemu dojść „czasem” do Boga, jako do ostatecznego wyniku swych badań. Takimi jednak przypuszczeniami przeczają dalsze słowa mojego krytyka. Zarzuca mi on bowiem, wbrew wygłoszonej przed chwilą zasadzie, że kwestię Boga umieszczam na końcu mych rozważań. „Tymczasem, ks. Jakubisiak komponuje obserne swe dzieło francuskie nieomal tak samo jak krótkie szkice polskie: rzecz się zaczyna od nauki, od wzorów matematycznych i fizyki współczesnej — wiedzie przez tendencyjną krytykę filozofów i w najważniejszym miejscu kończy się kazaniem. Kazanie to naspikowane jest jakimś 93 cytata i odsyłkami do Pisma św. Sztydło, trywialnie mówiąc, wychodzi z worka dopiero na str. 285”. Gdyby to „sztydło” ukazało się wcześniej, na samym nawet początku, p. Bleszyński nie czułby się mimo to zadowolony w swych metodycznych wymaganiach, nie o miejsce bowiem chodzi mu, ale o samą rzecz, czyli o afirmację Boga. Afirmację tę wytyka mi p. Bleszyński jako największy błąd książki *La Pensée et le Libre Arbitre*: „Nie podobna powiedzieć, pisze on, aby to była dobra książka. Z punktu widzenia, który nam na tym miejscu przystoi przede wszystkim — ze stanowiska czystej krytyki rozumu pisarskiego — trudno ją uznać nawet za zadawalną”. Wiemy wprawdzie, że Kant nazywał krytyką czystego rozumu. Niemniej pragnęlibyśmy wiedzieć, co p. Bleszyński rozumie przez czystą krytykę rozumu pisarskiego. Otóż z wywodów tego „pisarskiego” rozumu wynika, że nie chce on przyjmować ani w formie wniosków, ani w formie założeń, wiary w istnienie Boga, jako uwłaczającej powadze nauki i filozofii. „Nauka współczesna, pisze p. Bleszyński, jest zjawiskiem zbyt wielkim i poważnym, zbyt majestatycznym, aby tego rodzaju ciasno utylitarystyczne wyszukiwania jej, choćby w najuczciwszych tendencjach religijnych i moralizatorskich, mogło nie budzić w nas uczucie niemylności”. „Co ma stała Plankka, pisze dalej mój krytyk, do miłości bliźniego, choćby starali się spotkać z sobą w najszlachetniejszych celach?”

Do podobnych występów w ośroń rozumu przyzywał nas w Polsce prof. Kotarbiński. Najbardziej jednak energicznie i przyznanie należy, konsekwentnie bronią „po-

wagi” rozumu oraz „majestatu” nauki obecni reformatorzy filozofii w duchu wymagań metody logiki matematycznej. Stosując wymagania tej metody do klasycznych zagadnień filozofii, usuwają oni z ich liczby, jako pseudo-problemy, wszystkie kwestie dotyczące Boga, istoty rzeczy i celowości. Nie trzeba jednak w sprawie poglądu p. Bleszyńskiego na stosunek rozumu do wiary uciekać się do źródeł filozoficznych, gotową bowiem formułę tego poglądu znajdujemy w programach związków t. zw. „Wolnej Myśli”, dla których to związków nasi sąsiedzi ze wschodu znaleźli odpowiedniejszą nazwę „Bezhoznika”.

A jednak, mimo tak poważne koligacje, pogląd p. Bleszyńskiego nie da się obronić wobec świadectwa historii. Przeczu mu wręcz cały zastęp pierwszorzędných filozofów i uczonych, którzy nie wahałi się afirmować swej wiary w Boga i wiary tej popierać argumentami rozumu. Z filozofów starożytnych wystarczy wspomnieć Sokratesa, Platona, Arystotelesa i Stoików, którzy choć różnie pojmowali Boga, dawali Mu jednak wybitne miejsce w swych systemach. Tak samo rzecz się ma z myślicielami średnowiecznymi, nie tylko chrześcijańskimi, ale żydowskimi i arabskimi. A w dziejach nowożytnych czyż brak filozofów i uczonych, którzy nie tylko w skrytości serca uznawali Boga, ale Go ponadto publicznie wyznawali? Stanowią oni olbrzymią większość wobec malej garstki nie uznających Boga lub usuwających ze swych dociekań kwestie Jego istnienia i natury. Czyż nie zajmują się Nim myśliciele tej miary co Kartezjusz, Pascal, Leibniz, Newton, Gassendi, Voltaire, Rousseau, Kant, Schelling, Maine-de-Biran i tylu innych? A wśród bliższych nam czasem Secrétan, Ollé-Laprune, Boutroux, Bergson,

³ Że do takiej „czytelki” prowadzi nieuchronnie posługiwanie się w filozofii metodą logiki matematycznej, wie o tym świat cały. Nie widzą jednak tego, czy też nie chcą wiedzieć, niektórzy z naszych obrońców wymienionej metody, że wspomnie nazwisko prof. J. Łukasiewicza, z którym niedawno polemizowałem w tej sprawie (*Przeegląd Filozoficzny*, Roczn. 40, zeszyt I, marzec 1937). Co dziwniejsze, że są u nas nawet duchowni katolicy, broniący z zapalem owej metody, stosującej ją do teologii i usiłujący z jej pomocą zapewnić rozwój scholastyce. Nie mogą oni wyjść z oburzenia, żem w książce mojej *Od Zakresu do Trzeci* osmielił się zaatakować u sumy podstap te nową, a tak przez nich wysoko cenioną filozofię naukową, wykazując, że zaczyna ona od negacji metafizyki a kończy negacją Boga. Trudno, zaiste, dyskutować z tak niedoświadczonymi filozofami, nawet wtedy, gdy dla nadania sobie powagi stroją się w biel dominikańskiego habitu!...

Duhem, Branly, — czy nazwiska te nie zadają kłamu twierdzeniu mojego krytyka, że twórczość umysłowa wyklucza afirmację Boga?

Wiem, że przykłady powyższe nie posiadają żadnej wartości dowodowej w oczach p. Bleszyńskiego, „rozpieszczonego przez styl i polszczyznę naszych współczesnych filozofów”. Powiedzieć on może za jednym z nich (prof. Łukasiewiczem), że cała dotychczasowa spekulacja filozoficzna sprowadza się do „nicości”, przed wystąpieniem reformatorów filozofii w duchu wymagań logiki matematycznej. Jeszcze większe potwierdzenie dla swej tezy znajdzie mój krytyk w wywodach prof. Kotarbińskiego, twierdzącego, że „katolik nie może być człowiekiem dojrzałym intelektualnie”. Cóż wobec takich powag mogą znaczyć choćby najliczniejsze przykłady filozofów i uczonych, zajmujących się Bogiem? „Przedstawiciele takiej „filozofii”, pisze o nich pogardliwie p. Bleszyński, nie są oczywiście i nawet nie mogą być filozofami w istotnym znaczeniu tego słowa”. Gdy zaś zdziwieni zapytujemy, czemu wierzącemu nie wolno jest zajmować się filozofią, p. Bleszyński daje nam na to w swej odpowiedzi aż trzy różne powody, nad którymi warto zastanowić się chwilę.

Oto pierwszy z nich: „Filozofując, pisze mój krytyk, wierzący pragnie... wysławiać jeszcze jeden, tym razem rozumowy, hymn na cześć swej wiary — w takim razie niech lepiej zostaje artystą”. Słuszności tego powodu nie podobna zaprzeczyć. Dla wielu wierzących filozofia i cała ich praca umysłowa jest hymnem podziwu, uznania i wdzięczności, śpiewanym na cześć Stwórcy. Takim hymnem przepełnione są np. dzieła Keplera, w szczególności zaś jego *Harmonices Mundi*. Znajdujemy tam następujące wyznanie w końcu dzieła:

„Odwroćmy oczy i ręce od tablicy do wozów, a wzniósłszy je ku Niebu, pozostaje mi modlić się pobożnie i kornie do Ciebie, Ojciec świętości: O Ty, który światłem natury budzisz w nas pragnienie światła łaski, by przez nie przemienić nas do światła chwały, — dzięki Ci składam, Stwórco i Panie, żeś zachwylił mnie stworzeniami i ucieszył mnie dziełami rąk Twoich. Dokonałem dzieła mego powołania, zużyłem nań tyle sił umysłu, ile mi ich dałeś. Pokazałem chwałę dzieł Twoich ludziom, którzy czytając będą niniejsze wywody, o ile z nieskończoności Twej chwały pojąć mogła ograniczoność myśli mojej. Duch mój skory był do poprawnego filozofowania: jeśli, mimo to, wypowiedziałem coś niedogodnego zmysłom Twoich — robak zrodzony i wykarminiony na bagnisku grzechu — natchnij mnie, bym naprawił błąd mój, co Ty chcesz dać poznać ludziom. Jeśli przewidziana piękność dzieł Twoich popchnęła mnie do śmiałości, lub gdy kochałem własną sławę u ludzi w dziele po-

¹ Librairie philosophique J. Vrin. Paris 1936.

² *Wiadomości Literackie*, nr. 37, sierpień 1936, nr. 20, maj 1937.

święconym Twojej chwale, racz mi to miłosternie darować. Spraw te łaskawie, by wywody niniejsze służyły chwale Twojej i zwanieniu dusz, a w niczym im nie szkodziły.⁴

Trudno zaiste wyrazić bardziej dobitnie i gorąco swe najgłębsze uznanie dla Stwórcy. P. Bleszyński ma rację twierdząc, że prawdziwie wierzący nie może myśleć ani tworzyć poza Bogiem, to znaczy bez poczucia swego z Nim związku. Nie mogą jednak zgodzić się z moim krytykiem, gdy wzywają do myślenia, radzi zostać artystą. Wątpię bowiem, żeby wiedza ludzka zyskała na tym, gdyby Keppler, idąc za radą p. Bleszyńskiego, zaniechał astronomii dla poezji.

Drugim powodem, dla którego krytyk mógł zabraniać wierzącemu zajmować się filozofią, jest, że w ten sposób chce on „umocnić w wierze siebie i brać swoich”. Przyznaję, że nie rozumiem ważności tego powodu, po rozgraniczeniu, jakie p. Bleszyński przeprowadza między wiarą a filozofią. Jeżeli to są obce, nie z sobą wspólnie nie mające dziedziny, to co szkodzi, że ktoś zajmuje się nimi jednocześnie? Czyż nie wskazane jest, aby się sam przekonał o przepaści dzielącej obie te dziedziny? A gdyby nawet poszukiwania jego w tym kierunku doprowadziły go do wręcz przeciwnego rezultatu niż ten, do którego doszedł p. Bleszyński, to znaczy do umocnienia przez filozofię wiary w sobie samym i w innych ludziach, to co komu do tego? Czyżby krytyk mógł, tak silnie przekonany o rozbieżności między wiarą a filozofią, lekkać się mimo to dla siebie i sobie podobnych wpływu wierzącego filozofa?

Za słusnością tego przypuszczenia przemawia stanowczo trzeci i ostateczny powód, dla którego p. Bleszyński odmawia wierzącemu prawa zajmowania się filozofią: „filozofując szuka on sposobów narzucenia wiary swej niewierzącym. Wtedy, dodaje p. Bleszyński, specjalnie strzec się go potrzeba”.

Spotykając taki pogląd w sprawozdaniu z mojej książki *La Pensée et le Libre Arbitre*, należy przypuszczać, że albo sprawozdawca nie zna zupełnie treści omawianego przez się dzieła, albo też treść tę świadomie i tendencyjnie wypacza. Na pierwsze przypuszczenie, z którego wynika, że p. Bleszyński książkę moją nie czytał, lub jej nie zrozumiał, jako że napisana jest wiodocześnie w nieznanym mu języku, można by się zgodzić, gdyby w sprawozdaniu jego z moich prac polskich nie występował ten sam zasadniczy rys jego umysłowości, nie łączący się weale z treścią omawianego dzieła, a narzucający jej z góry powziętą interpretację. Do jakiego stopnia p. Bleszyński posuwa czelność niecierpienia się z treścią „badanych” przez się dzieł, dowodzi fakt, że z zadaniem mojej pracy *La Pensée et le Libre Arbitre*, wyrażanym na każdej niemal stronie, było wykazać, że nikt nikomu nie może narzucić poglądów religijnych i w ogóle żadnych bez zgody woli tego, komu poglądy owe są podawane. Wbrew do dziś dnia powtarzanym postulatam klasycznego intelektualizmu twierdząc, że myśl, choćby naj-mądrzejsza i najbardziej jasna, nie może u dzielić się wprost umysłowi drugiej jednostki ludzkiej, o ile ta ostatnia nie zaoprobuje jej wola swoją. Jak to już dawno wykazał Kartezjusz, nie ma sadu bez zgody wolnej woli. I po takiej zasadzie, stanowiącej główne założenie wszystkich prac moich, p. Bleszyński śmie mnie posadzać, że chcę mu narzucić swoją wiarę religijną. Czyż, dyskutując z nim i z podobnymi mu „outsiderami” niewiary, nie byłbym w krzyżacej niezgodzie z sobą samym, nie mówiąc już o stracie czasu, za jaką uważalym podobną dyskusję?

⁴ Restat nunc, ut vel tandem oculis et manibus de tabula demonstrationum ablati, inque coelum sublatis, Patrem Illuminum devotus et simplex comprehere: O qui lumine Naturae desiderium in nobis promovet luminis Gratiae, ut per id transferas nos in lumen Gloriae; gratias ago tibi, Creator Domine, qui delectasti me in factura tua, et in operibus manuum tuarum exultavi. In nunc opus consummavi professionis meae, tantis usus ingenii viribus, quantis mihi dedisti; manifestavi gloriam operum tuorum hominibus, istas demonstrationes lectionis, quantum de illius infinitate capere poterunt angustiae mentis meae; promptus mihi fuit animus ad emendatissimum philosophandum: si quid indignum tuis consiliis prolatum a me, vermiculo, in volutabro peccatorum nato et innotuit, quod scire velis homines: id quoque inspice, ut emendem: si tuorum operum admirabili pulchritudine in temeritatem protectus sum, aut si gloriam propriam apud homines amavi, dum progredior in opere tuae gloriae destinato; mitis et misericors condona: denique ut demonstrationes istae tuae gloriae et animarum salutis cedant, nec ei ullatenus obsint, propitius effice digneris. (Joannes Keppler: *Harmonices Mundi*. Lincii 1619. In 4^o. Lib. V, Cap. IX, p. 243).

Zarzuty, jakie p. Bleszyński stawia mojej filozofii, można z całą słusnością zastosować do jego własnych sprawozdań. W sprawozdaniach tych widać wyraźną chęć narzucenia umysłowi niewiary, jako niezbęd- nego warunku do zajmowania się filozofią. „Wiara prawdziwa, szczerza i głęboka, pisze mojej krytyk, stanowi wyjątkowo silne „a priori”, namiętne, nagabujące i zaślepiające. Wiara taka w dziedzinie twórczości umysłowej działa wręcz trującą zwiadcza na filozofię, ten intelektualny organ najgłębszej twórczej wolności człowieka”. Z wyjątkiem ostatnich słów zdania, z których dowiadujemy się ze zdziwieniem, że filozofia jest „organem” wolności człowieka, a nie jej wytworem, jak prawdopodobnie p. Bleszyński chciał powiedzieć, myśl jego jest zrozumiała. Filozofowie nie wolno wierzyć, wiara bowiem jako założenie pierwsze, niedowiedzione i nie dające się dowieść, z góry odbiera umysłowi ludzkiemu wszelką możliwość bezstronnego badania prawdy.

Coż ma więc począć, według mego krytyka, człowiek wierzący, który chce się zajmować filozofią? Powinien wyrzec się wiary i jako podstawę wolnego myślenia przyjąć niewiarę. „Aby móc zacząć myśleć filozoficznie, pisze p. Bleszyński, trzeba przed tym na długo przestać wierzyć”!... Do słów tych trzeba dodać: na zawsze. Nie chodzi tu bowiem o chwilowe zawieszenie sądu o rzeczach, takie, jakie Kartezjusz nazywa *scipem* *metodycznym*, to ostatnie bowiem nie wyklucza bynajmniej wiary w Boga, na której francuski reformator filozofii opierał

wszystkie swe wywody (*véracité divine*). P. Bleszyńskiemu chodzi o coś zupełnie innego, a mianowicie o „ducha zwątpienia”, usuwającego raz na zawsze wszelką wiarę z umysłu filozofa. „Wierzący filozof, pisze mojemu oponent, to sprzeczność w terminach, coś jak naiwny dyplomata, lub niewiedomy strzelec. Wynawca z założenia, z powołaniem lub zawodu może być każdy, tylko nie filozof!”.

Trudno o jaśniejsze sformułowanie w arunku, jakiego mi się poddać przystępując do filozofii. W arunku tym jednak nie podobna nie widzieć założenia, stanowiącego „wyjątkowo silne a priori, namiętne, nagabujące i zaślepiające”. Założenie to wstępne, jak każdy w ogóle postulat pierwszy niedowiedzone i nie dające się dowieść, „wpływa, mówią słowami p. Bleszyńskiego, wręcz trującą, zwłaszcza na filozofię”, narzuca bowiem z góry umysłowi w formie gotowych, nieprzemysłanych wniosków cały szereg negacji w najbardziej zasadniczych kwestiach myśli i bytu. Z takiego założenia wychodząc, umysł ludzki nie może dojść do żadnych dodatnich wyników swych badań. Duch bowiem zwątpienia i negacji nie był nigdy „*magnus parens*” filozofii, jak mylnie twierdzi p. Bleszyński, ale rozdził zawsze zwątpienie i negację. Świadczy o tym wyśownie rezultaty tak zwanej filozofii naukowej. Sprzeczają się one do schematyzacji myślenia, w których dotychczasowym jest mięt sens, jako że nie wyrażają one nic, co by miało jakikolwiek związek z treścią naszych wrażeń i doznań, ale są tylko pustymi formami języka, okaleczonym przez wymagania metody logistyczno-semantycznej.

O ubóstwie wyników spekulacji filozoficznej, mającej u podstaw negację Boga, pocięta nas casus prof. Kotarbińskiego. Przyznając się on otwarcie na przeszlorocznym Polskim Zjeździe Filozoficznym do opowiadającego go coraz bardziej sceptycyzmu: „Im dłużej żyję, tym mniej mam przekonania”, mówi szczerze o sobie twórca reizmu.

Najbardziej jednak przekonywującym dowodem oplakanych skutków myślenia, opartego na postulatcie negacji Boga, jest przykład samego p. Bleszyńskiego. Do postulatu tego przyszedł on tak mocno całym ciężarem umysłowym i duchowym swego jestestwa, że wyklucza z góry wszelką możliwość, aby nie tylko w życiu obecnym, ale i przyszłym, mogło się w poglądach jego zmienić. Oto własne jego słowa w tej sprawie: „Przyputymy, pisze mojemu oponent, że jesteśmy już na tamym świecie, po sądziu ostatecznym. Wtedy jedno z dwojga: albo stan nasz będzie czymś od obecnej myśli i świadomości naszej całkowicie, *toto genere* różnym, o czym ani filozofowie, ani teologowie, ani zresztą nikt nie wie, nie wie, ani z sensem powiedzieć nie może, jest to więc przypuszczenie zgola pozbawione treści; albo też zaświatowy stan nasz będzie od ziemskiego może szczęśliwszy, lecz rodzajowo, świadomościowo doń podobny; a w takim razie muszę i tam stanąć przed nami te same zagadnienia, od świadomości nieoddzielne, które nas tu dręczą, a *my już dziś o tym wiemy i w sytuacji filozofa nie się wliczanie nie zmienić*”. (Ostatnie słowa cytatu są podkreślone przez mnie). Możemy zapewnić p. Bleszyńskiego w imię nie wiary, ale logiki, że w sytuacji jego wewnętrznej nie się nie zmienią w wieki wieków, dopóki trwać on będzie przy swoim pojowaniu warunków i zadań filozofii. Żadne doświadczenia, żadne przeżycia, żadne wypadki osobiste i światowe nie przekonają go o bezpodstawności założenia, na którym opiera cały gmach swych „naukowo-filozoficznych” wywodów.

Taka jednak postawa wobec zagadnienia Boga nie tylko stanowi „wyjątkowo silne a priori, namiętne, nagabujące i zaślepiające”, ale wyraża ponadto typowe symptomy pewnej znanej i w patologii badanej psychozy. Mniejsza o to, jakie miano da się tej psychozie, czy nazwie się ją z greką *paranoja*, czy po francusku nazwie się ją „*Jolie de grandeur*” lub „*folie de raisonnement*”, będzie to zawsze charakterystyczna postawa pychy ducha, nie uznającego nie ponad sobą, posuwającego kult samego siebie aż do obłędu samoubojstwa. Gdyby p. Bleszyński przeczytał uważnie moją książkę, znalazłby w niej wytłumaczenie swej umysłowości. W każdym razie wyznaję jego pisarskie posiadając tę niezaprzeczoną wartość, że nie tylko służy ku uciesze czytelników *Wiadomości Literackich*, ale że nawet, mimo woli autora, wykazują słusność głównej tezy mojej filozofii, iż nie umysł ale wola decyduje o postawie człowieka wobec zagadnień myśli i życia, że zatem nie ma myślenia nietendyjnego.

AUGUSTYN JAKUBISIAK

⁵ Sprawozdanie J. Bleiberga w Nr 12 *Drogi*, luty 1937.

EDMUND OPPMAN

PISM PIŁSUDSKIEGO TOM TRZECI

Pierwsze dwa tomy pism zbiorowych zawierały głównie rozważania Piłsudskiego nad chwilą bieżącą. Jedynie *Bibula* odbiegała od tego typu. Tom trzeci¹ zawiera materiał bardziej różnorodny. Prócz rozważań aktualnych mamy tu rozważania nad bliską i dalszą przeszłością, jak również prace, powstałe wyraźnie dla bezpośrednich celów praktycznych, a więc dla wojkowego przygotowania przyszłych żołnierzy wojska polskiego.

Omawiany tom *Pism Zbiorowych* zawiera wykłady, artykuły, rozprawy oraz rozkazy i listy Piłsudskiego za okres 1910 — 1914. Odpowiada części II i III *Pism — Mów i Rozkazów*. „Rozumiemy, że ani niepodległości kraju naszego, ani takich warunków, w których walka nasza z wrogiem mogłaby się odbywać na sposób zachodnio-europejski, nikt nam nie podaruje, ani nikt za nas nie wywalczy. Rozumiemy wszyscy, że o nasze cele, tak polityczne, jak i społeczne, musimy walczyć. I to nie na języki, nie za pomocą bihulów zadrukowanych, lecz z bronią w ręku. Masimy przeciwstawić zorganizowanej siłce najazdu, opierającej się na bagnatach żołdactwa, siłę zbrojną ludu polskiego. Rewolucja, do której się przygotowujemy, to walka orężna armii ludowej z armią caratu, broniącą u nas jego panowania. Taka walka jest naszym celem, bo tylko taka walka może nam dać zwycięstwo” — myśli ta, zawarta w pierwszym fragmencie *Zadań praktycznych rewolucji w zaborze rosyjskim*, przewija się przez cały t. III, jest naczelnym zagadnieniem, któremu Piłsudski poświęca swe rozważania. Wszystkie jego rozprawy i wykłady tego okresu służą powyższemu celowi. Rozprawkę *Zadania praktyczne rewolucji...* i *Geografia militarna Królestwa Polskiego* wyraźnie były przeznaczone dla celów dydaktycznych. *Zadania...* dają założenia przyszłej wojny, do której należy się przygotowywać. *Geografia...* przedstawia Królestwo Kongresowe, jako warunki terenowe i wojskowo-geograficzne oraz z nim związane możliwości strategiczne i taktyczne, więc opisuje z punktu widzenia wojkowego to terytorium, które stać się ma w planach Piłsudskiego teatrem walk o Niepodległość.

Studia krytyczne z wojny bałkańskiej oraz odczyt *Kryzysy bojowe* mają na celu oświadczenie przyszłych żołnierzy, zapoznać ich z istotą wojen i bitew.

Z propagandą „czynną orężną” oraz nauką wojny związane są i rozprawy typu „historycznego”, zajmujące się analizą zjawisk minionych, wyjaśniające pewne dziejowe momenty. Rozprawy te obejmują zasadniczo dwa działy: jeden stanowi prace analizujące bliską przeszłość, więc będące jednocześnie osobistą reakcją autora na przeżyte wypadki, rodzaj opracowań wspomnianych twórcy i uczestnika wydarzeń, drugi to opracowanie epoki minionej, którego autor nie był bezpośrednim świadkiem.

¹ JÓZEF PIŁSUDSKI: *Pisma Zbiorowe*, t. III. Warszawa, 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii Polski, str. 299+VII.

Ten dział opracowań z domieszką osobistej reakcji obejmuje wypadki ruchu rewolucyjnego 1904 — 1907, a więc *Historia Organizacji Bojowej P. P. S.* podaje akcję bojową, organizację i przemiany Organizacji Bojowej, rozprawkę *W przeddzień rewolucji 1905 r.* i *O rewolucji 1905 r.*, zawierającą genezę i analizę ruchu rewolucyjnego w Królestwie, zapoczątkowanego w okresie wojny rosyjsko-japońskiej.

Wybijającą się cechą tej kategorii prac Piłsudskiego jest szczególny obiektywizm i głębia ujęcia. Choć są to wypadki, przeżyte przez autora, choć był on ich aktywnym uczestnikiem, choć je tworzył, w opisach takich wyjątkowo bezstronność, autor stara się usunąć w cień. Oświetlenie sprawy dane jest wszechstronne. Rozważania spojone są wspólną linią wyrocznią, którą stanowi wydobycie istotnych elementów kierowniczych, czynników tworzących historię. Z kart tych bieżącej prozai, a jednocześnie ujęcie historiozoficzne, mamy obrazy z niedalekiej przeszłości ujęte w system filozoficzny. Rola społeczeństwa, masy, postawy moralnej narodu zostały wnikliwie uwidocznione. Drugi dział obejmuje wyraźne rozprawy historyczne. Posiadają one dużą wartość naukową, do dziś aktualną. Związane są z dziejami powstania styczniowego. Historia walk 1863-1864 r. dotychczas nie została dokładnie opracowana. Nie obce są nam poszczególne epizody tych czasów, nie chwytamy jednak ówczesnego ducha. Takie są wszystkie opracowania, poświęcone powstaniu styczniowemu, czy to będą przestarzałe wielotomowe prace Przyborskiego, czy dzisiejsze monografie współczesnych nam autorów. Prace Piłsudskiego, omawiające powstanie 1863 r., są bodaj jedynymi opracowaniami powstania, wprowadzającymi nas nie w suche fakty lecz w ducha epoki. Piłsudski w świetle tej pracy jest nie tylko historykiem władającym aparatem krytycznym, nie tylko posługując się jasną, logiczną konstrukcją, lecz jest wnikliwym znawcą omawianej epoki. Prace jego tchną życiem, znać, że autor wniknął w ówczesne życie, że uchwycił całkowitą jego treść, że rozumie troski, tęsknoty i nastroje tego pokolenia. Mam tu na myśli dwie rozprawy, umieszczone w III tomie: *22 stycznia 1863 i Zarys historii militarnej powstania styczniowego*, *22 stycznia...* obrazuje wybuch styczniowy, plan powstania, ich zamiary, siły, możliwości i źródła niemości. Jest to jedyne opracowanie, które uchwytuje istotę wypadków nocny z 22 na 23 stycznia. *Zarys historii...* daje mechanizm walk powstalczych. Jest to jedyny rozbiór działań wojennych powstania styczniowego, przynajmniej jedyny polski. A przy tym jest to praca na wskroś oryginalna — jedyny znowu rozbiór polskich walk powstalczych, ujęty z punktu widzenia zarówno naczelnego dowódcztwa, jego roli i znaczenia, jak organizacji wojska i jego kierownictwa.

Tom ten przygotował do druku, opatrzył wstępem i przypisał mjr dr. Wacław Lipiński.

EDMUND OPPMAN

Przypominamy

że czas odnowić prenumeratę
za kwartał III i II-e półrocze

MARIAN PIECHAL

MÓJ PROFESOR

Kto czytał Jego dzieła, ten Go cenił, po-
ł. szanował; ale kto Go znał osobiście,
też miał zaszczyt cieszyć się Jego przy-
nią — ten Go czcił i kochał. Człowiek,
o którym można powiedzieć, że nie miał
przeciwników — nie dlatego, aby nie przed-
stawiał sobą zdecydowanej indywidualności

zawsze czynnego heroizmu wobec nawaly
codziennych przeciwności. Niejako z pro-
fesi, wierzył w dobroczynny wpływ książki
na charakter nie tylko człowieka, ale naro-
dów całych. Przede wszystkim jednak wier-
zył w spontanicznie przejawiającą się w
„chwilach osobliwych” samorodne wartości



JÓZEF UJEJSKI

nie okazywał tam gdzie potrzeba niewzru-
szenie pewnej postawy, ale dlatego, że siła
przekonania, moc charakteru i urok osobo-
wości manifestowały się u Niego na tak wy-
sokim poziomie formy i gestu, w tak sła-
chetnym tonie godności i poszanowania dla
przeciwnika, że żaden niski podstęp, żaden
cios z ukrycia osiągnąć Go nie mógł.

Dobroczynny wpływ Jego czarującej
postaci odczuwali na sobie przede wszyst-
kim Jego uczniowie. Sala uniwersytecka, w
której wykladał Józef Ujejski, nie była je-
dyne miejscem uporczywego wkuwania
martwych prawd i spetryfikowanych pen-
ników; seminarium polonistyczne, prowa-
dzone przez Niego, nie było jedynie war-
szatem żmudnego rzemieślnictwa umyślo-
wego; to były miejsca swobodnej wymiany
zdań, założeń i wniosków, miejsca — rzek-
bym — szachek dla mniej lub więcej ma-
jących „dobrą serca wolę” do roztrząsania
żywych dla nich zagadek estetyki i życia,
idei i historii, słowem: całego kompleksu
zawilych problemów literackich.

On, wykładowca i kierownik tych prac,
był tylko sternikiem wśród tej swobodnej
powodzi pytań, wniosków i wypowiedzi
uczniów. Wśród wartkiego strumienia ogól-
nej wymiany zdań wskazywał na prądy
główne, nurty najgłębsze, ostrzegał przed
ślepyimi rozgałęzieniami, zapobiegał zbyt-
niemu naporowi fał dyskusyjnych, tamował
wylewy, trzymał wszystko w brzegach roz-
umnego ładu, rozsądki i celowości. Toteż
nie było jakąś dumą było powiedzieć o Józe-
fie Ujejskim w przypadkowej rozmowie lub
wspominku o Nim: „Mój profesor”...

Zaden chyba z profesorów w Polsce nie
cieszył się takim miarem osobistym, takim
autorytetem powagi wśród studentów, co
ś. p. „nasz profesor”, Józef Ujejski. Gdy
przed paroma laty, w okresie zaczynających
się wtedy ostrych nieporozumień i burzli-
wych zajęć wśród młodzieży akademickiej,
objął Ujejski rektorat Uniwersytetu War-
zawskiego — żaden poważniejszy incydent
nie zakłócił spokojnego biegu wykładów na
uczelnia.

Był wychowawcą nie według reguł przy-
jętej jakiegis z zewnątrz doktryny, lecz z in-
stynktu, z natchnienia, które nie zawodziło
nigdy. Oczwieszczył, dodatnie wyniki Jego
pracy wychowawczej były rezultatem grun-
townej i szerokiej znajomości duszy mło-
dzieży. Józef Ujejski wiedział, że najwie-
kszy urok ma dla młodzieży wewnętrzna
prawość, postawa niewzruszonej godności.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

„KLEJNOT W KORONIE
RZECZYPOSPOLITEJ”

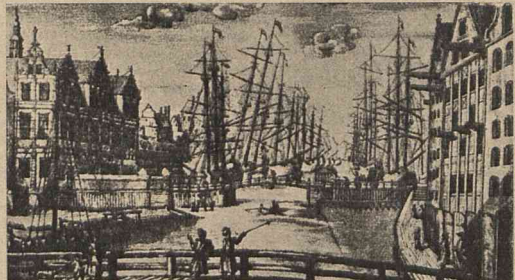
Obok książki Stanisława Wasylewskiego
o Lwowie i Rafała Malczewskiego o Podha-
lu Gdańsk Jana Kilarskiego — należy do naj-
cenniejszych pozycji serii „Cuda Polski”.
Obraz Gdańska na przestrzeni wieków — o
konturach zatartych, wystylizowany na mo-
dłę starych dzieł sztuki rytmicznej, zawar-
ty w ramach swobodnej konstrukcji mono-
graficznej, stanowi zasadniczy walor dzieła
Kilarskiego. Obiektywizm w traktowaniu
procesów politycznych i narodowościowych,
tworzących dzisiejsze oblicze Wolnego Mi-
sta, podnosi je do rangi doskonałego prze-
wodnika po skomplikowanej płataninie pro-
blemów, które raz po raz domagają się u-
normowania w postaci dodatkowych umów
do obowiązujących konwencji.

Książka jest przede wszystkim historią
Gdańska: między pierwszą i ostatnią stroni-
cą upływa bezmała tysiąc lat. Autor nie o-
granicza się tylko do kronikarskiego zesta-
wienia faktów, ale dociera do najgłębszego
nurtu dziejów miasta, ukazując trudne nie-
raz do odcyfrowania wiązania wydarzeń hi-
storycznych. Oryginalność konstrukcji *Gdań-
ska* polega na tym, że opis faktów z minio-
nej przeszłości przeplata Kilarski barwnymi
obrazami życia obyczajowego, które stano-
wią cenne uzupełnienie informacji history-
cznej. Ta metoda, pozwalająca uniknąć ja-
łowych mizli, jakie czyhają w opisie ściśle
chronologicznym, ukazuje poszczególne zda-
rzenia jako wynik ówczesnych napięć dyna-
micznych i potęgę ich dramatyczne tętno.
A jakkolwiek autor trzyma się zawsze hi-
storycznego faktu i bywa nawet po kroni-
karsku drobiazgowy, nie nuży przecież —
nawet wtedy, gdy ze starych spisów wycią-
ga registry rzeczy wystawionych na licytac-
ję. Albowiem szczegółom nadaje właściwe
proporcje, traktując je jako konieczne de-
tale pełnego obrazu. Rozwój miasta, jego
rozrastanie się z wieku na wiek odczuwamy
bardzo żywo. W zdyscyplinowanym języku
autora doskonale uwidoczniła została od-
ległość chronologiczna, dzieląca poszczegól-
ne okresy.

Niepóźniami zasługą Kilarskiego jest u-
kazanie ścisłego związku dziejów Gdańska
z losami Rzeczypospolitej. W opinii naszej
utrzymanie się uporczywie przekonanie, że
zręby polskiej państwowości tworzyły się na
bródglądowych nizinach, z dala od morskich
brzegów. Omawiając rolę czynników fizycz-
nych w kształtowaniu się początków dziejów
Polski, uzasadnia prof. Semkowicz donio-
słość rzek, przerywających piastowskie
dziedziny. Terytorium państwowe Pol-
ski piastowskiej pokrywa się z zupełną nie-
mą dokładnością z obszarem dorzeczy Odry
i Wisły. A przekonanie o ścisłym związku
gospodarczym źródeł i ujścia rzeki, które
tak pięknie wyraziło się w słaskiej legen-
dzie o ptaku zielonym, co to każdego dnia
ślądem wiślanych wód dąży w dół rzeki,
aby wieczorem przynieść wieści o doli czło-
wieka żyjącego wśród piachów przymorza —
znajduje w dziejach pełne potwierdzenie.
Pierwszy historyczny Piast kieruje myśl
państwową ku morzu. Sławna była „Gdynia”
mieszkożytych czasów, Wólń pomorski,
który wypadnie najprawdopodobniej utoż-
samiać z baječną Winetą, zatopioną przez
morze. Książęta szczęściu w ciągu w. XII
nie bez wiedzy króla polskiego przedsiębrali
dalekie wyprawy aż na północny brzeg Bał-
tyku, do bogatych miast szwedzkich. O je-

io zaćmić sławę legendarnej Winety: Gdańsk,
„pierwszy klejnot w koronie Rzeczypospoli-
tej”. Liczne znaleziska świadczą, że w dobie
wczesnohistorycznej istniały na gdańskim
pobrzeżu osady — może faktorie handlowe
przeznaczone dla skupu bursztynu i dla han-
dlu przechodniego ze Skandynawii. Zabieg-
liwość fenickiego i rzymskiego, a w dobie
późniejszej arabskiego kupca wprowadza
„północne złoto” między najcenniejsze skar-
by ziemi. Perły „elektronowe” zdobną na-
szyjnik trojańskiej heroiiny. Do Rzymu śmia-
le ekspedycje znoszą tajemniczy jantar, któ-
ry ma moc dawania zdrowia. Nad ujściem
Wisły, w punkcie węzłowym dróg z Południa
i Wschodu, powstaje warowne grodziszcze,
przekształcając się z czasem w wielką osadę
handlową. Zwabił jego położeniem,
przez wieki całe ciągną tu kupcy ze wszyst-
kich stron Europy. Przychodnie z dalekich
stron, zza siedmiu gór, zza dziesięciu rzek,
osiadają w kotlinie Żuław i na wałach nad-
morskich piachów, które wiatr północny,
pierwszy gospodarz tej ziemi, w lagodną
rzeźbę dinn uformował. Mieszają się tu z
żywołem miejscowym, w wyniku czego po-
wstaje po wiekach nacja szwedzka, w któ-
rej jednak przeważa element słowiański. Po-
szczególnie naważnienia etniczne gdańskiej
społeczności są dzisiaj trudne do oddziele-
nia — pewne jest tylko, że wśród przyby-
sów, poczynając od w. XII, przeważają
Niemcy, ale i Holendrzy i Szkoci stanowią
poważny odsetek, a nie brak też Francu-
zów i Anglików. Szlachta polska ciągnęła tu
w XVI w. porówny z przybyszami z Zachodu,
a wraz z nią i ludzie z późniejszego
stanu, osiedlający się głównie po przedmie-
ściach. Różnorodne cechy rasowe, zestrojo-
ne w harmonijny zespół, uformowały specy-
ficzną psychikę gdańszczyzanina. Po słowian-
ski przywiązany do swego, niezem chary-
zmatyczny w jalone podłoże, w zamysłach
niejednokrotnie zachwał, zachował w so-
bie pewne rysy śmiałyż zęglarzy z północy.
Kaprowie gdańscy w średniowieczu zdoby-
czyli łupami zdobną woję kościóły, Jan z
Kolna znał cichych wód Malego Morza wy-
pływa na niezmierny przestwór oceanu by
wyładować aż na zimnych brzegach La-
bradoru.

Mimo etnicznej odrębności Gdańsk od
najdawniejszych czasów związany był ze
swym naturalnym zapleczem, jakim jest do-
rzecze Wisły. Toteż losy miasta kształtowały
się w najściślejszej zależności od losów Rz-
eczypospolitej. Jest to związek nie tylko go-
spodarczy natury. Dawał Gdańsk niejedn-
okrotnie dowody swego przywiązania do pol-
skiej władzy i do polskiej tradycji kultural-
nej. „W tym jednym mieście zachowaną zo-
stała Rzeczpospolita” — mógł pisać kan-
clerz Jana Kazimierza, gdy czasu pamięt-
nych wojen innowierczy Gdańsk po spou z
katolicką Szczęstochową stawil czoło przew-
łom szwedzkiego najazdu. Nastroje i uczu-
cia gdańszczyzan w okresie rozbiorów odzwier-
ciedliły się w ówczesnej literaturze pamięt-
nikarskiej. Oto co pisał Joanna Schopen-
hauer, matka filozofa, o wejściu wojsk Fry-
deryka: „Ludzie podnieceni przeklinali, pla-
kali, lamali ręce, w głos narzekając... Prusa-
cy też nocy przysli... u bram miasta oder-
pruski... Gniew mieszczan w poczuciu nie-
mocy potęgował się do rozpacznej wściekło-
ści i przechodził w głęboką nienawiść do
wszystkiego co pruskie”.



SZLACHCICE POLSCY NAD MOTŁAWĄ

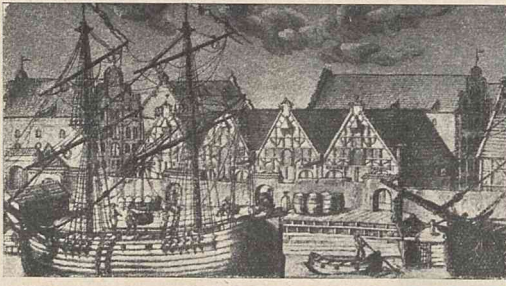
dym z nich. Ratiborze, głoszą duńskie sagi,
że „zgrabrawszy kolo siebie poganów, krążył
po wodach Bałtyku, jakoby król morski po-
śród floty swej, złożonej z pięćnaset kora-
biów”.

Wszelako nie z Odry miała się morską
ekspansją Polska łączący. Inne miasto mia-

JAN KILARSKI: *Gdańsk*. Wydawnictwo
Polskie (R. Wegner) Poznań. Str. 252.

MARIAN PIECHAL

czenia nie zdołały wyrugować elementu tubylego, który w latach ostatnich zaczyna się coraz silniej konsolidować. Rolę najpierwszą w tym procesie uświadamiania narodowego odgrywa szkoła polska. Senat gdański, obowiązany do zakładania i utrzymywania szkół powszechnych z polskim językiem nauczania, nie kwapi się z tym zbytnio. Tworzenie szkół prywatnych okazało się koniecznością, tym bardziej że obowiązek Wolnego Miasta nie obejmuje szkolnictwa średniego. W trudzie niesłychanym rozbudowano szkolnictwo prywatne, w którego uczelniach kształciły się dzieci dwa razy więcej niż w szkołach senackich. Dla turysty najwymowniejszym znakiem polskości Gdańska są pamiątki historyczne. Mnóstwo Gdańsk przez wieki swe polskie znaki: posagi i portrety królów, napisy polskie i orły pokryły ściany domów, wnętrza kościołów i gmachów publicznych. A chociaż przetrzebiono je znacznie, tkwią one na każdym niemal kroku, świadcząc do dziś o niezaprzeczonej



STATKI WIŚLANE

związku Gdańska z polską państwowością i polską kulturą. Zmieniło się w ciągu wieków oblicze miasta w taki przepływ fal morza i historii.

A przecież nie utraciła swej aktualności stara dewiza gdańska: *ex undis divitiae, ex agris vita*, i dziś tak samo jak z Jagiellonów jest świadectwem realnego prawa Rze-

czypospolitej do Wolnego Miasta. Dziś tak samo jak z złotych jagiellońskich czasów płyną Wisłą szkuty wydławane zbożem a czasu wiosennego spławu rozlega się śpiewka flisaków. Mniej ich już dzisiaj niż za Władysława IV np. kiedy to nalicezono ich 5 tysięcy. Lata udoskonalen technicznych zmieniły formy transportu. Ale kierunki wielkich szlaków komunikacyjnych do dziś pozostały jednak.

Dziś — jednak jako z czasów cywilizacyjnej młodości tego zakątka ziemi, morze i wiatr od morza rzeźbią jej powierzchnię. Łaska i gniew tych dwóch żywiołów kształtują duszę jej mieszkanca. Los jego nieraz odmieńcał gwałtowny nurt historii, co przeplwał tędy po spole z wiślaną wodą. Pisała na tutejszych piachach znaki swoje historia, a nieujarzmiona fala Bałtyku nieraz je już zmywała, nieczem brzdąki nietrwale na przy-morskich zdiarach.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

ŚWIAT KSIĄŻEK

STEFAN BALICKI: *Ludzie na zakręcie*. Wyd. St. Dippa. Poznań 1937. Str. 280.

Książka Balickiego powstała z podsepu tu wygórowanej ambicji pisarskiej. Autor zamierzał stworzyć powieść o t. zw. „wyższym natęczeniu”, osiagając ją przez wysunięcie *problemu* i wprowadzenie *uderzających chwytów konstrukcyjnych*.

Pierwszą z tych pokus odłania już tytuł. *Ludzie na zakręcie* to przecież metaforyczne sformułowanie problemu tej powieści. Wypowiedzmy jej prościej i jaśniej: w życiu każdego człowieka — taki jest sens owego problemu — nadchodzi nieoczekiwany moment przełomowy, w którym powzięta decyzja wyznacza nam dalsze dzieje, a przede wszystkim wpływa radykalnie na zmianę naszego układu moralnego. Ale — w momencie tym — można również nie powziąć decyzji, można też chwilę cudownego ośnienia zmarnować. Dlatego w powieści urasta ona do znaczenia dramatycznej kulminacji, co nadaje utworowi pozór problemu, wstrząsa go — jakby to powiedział Witkiewicz — metafizycznym deszczem. Realizacja jej musi obliwna konstrukcja: potwarza ona w szeregu wariantów „przełomowy moment”, wzmagając tym jego prawdopodobieństwo i konieczność. Konstrukcje dyktuje tu problem.

Jakże wygląda jego konkretyzacja? Oto pierwszy wariant powieści Balickiego: bezrobotnemu inteligentowi grozi widmo śmierci głodowej. W momencie ostatecznej depresji postęga wypadki jakby wyjęte z niesamowitego filmu. Ogarnia go determinacja — wkraça w ich krag. Rezultat? Dostaje się w sidła aferażystów, w ręce policji i rączki kokoty, na koniec pojedynkuje się za cenę pięciu tysięcy. Jest nareszcie uratowany: na pieniądze, a na dalszą przyszłość poplatny talent. Niezwykły bowiem przeżycia wyzwoły w nim natęczenie pisarskie. Denerwuje nas akcja, ale również... dotęść problemu. Bo nikt nam nie mówi, że zdobyte przez Kontnego pieniądze i przyjęta do druku jego nowela wyrażać mają więcej, niż to tylko, co naprawdę znaczą. Są to wydarzenia stojące — wbrew nadziejom autora — o sto mil od wszelkiej symboliki. A oto znów inny wątek. Dyrektorowi banku, wobec odkrytego nadużycia jakie popełnił, grozi więzienie. W tym „przełomowym momencie” spotyka ojca, nie widzianego od lat. W starym kelnere właśnie na te chwile wzebrały sentymenty rodzinne. Zgodzi się napisać do policji zeznanie, oskarżające jego o malwersację, które są dziełem syna. Pozwoli wreszcie i na to, by syn go otrul. Oglądamy tu wywołony nagle paniczny strach słabego charakteru. Strach działa błyskawicznie i decydująco. Wystarcza ów „przełomowy moment”, by dyrektora postawił nie tylko wobec więzienia, ale kary śmierci.

Prawda, epizod ten wylicera podniecające wrażenie, podobne jak akta z upiornego procesu sądowego, i zapewne wobec sądu stanowiący wielki problem, ale właśnie dlatego w powieści — tak postawiony — jeszcze nim nie jest. I nie może być, bo, jak widać to ze streszczonych wątków, powieść gra przede wszystkim *sensacją faktów*, spogęwaną przez nader krótki czas trwania akcji. Wszystkie te zabójstwa, pojedynki i ucieczki rozgrywiają się w przeciągu czterech dni. W rezultacie więc konstrukcja popadła w typ „wassermanowski”, gdzie powieść powstaje wprawdzie dla problemu, lecz go po drodze przegrzywa na rzecz komplikacji fabuły. To przesunięcie okupuje jednak Wasserman zageznowaną aurą niesamowitości, jaką roztaça każde zdarzenie i każda postać.

Balicki nie potrafił być konsekwentny;

splycając problem, a wraz z nim „wyższe natęczenie” powieści, zatrzymał konstrukcję, odartą już teraz z zamierzonego znaczenia — a nowym, „sensacyjnym” nie przezwilił. Konstrukcja zakrzepła w stadium gazetowego dramatu z kroniki wypadków. Próżno w niej szukać niesamowitej powiaty wassermanowskiej. Balicki zachował się jak wbrewdy uczeń wobec jednego z drugorzędnych mistrzów. Porzucił go z półdyplomem, kuszony wiedzą dostojniejszych. Egzamin jednak zdawał „sztukowany” i to się na nim zemściło — to pomieszanie zamiarów. Kompozycja bowiem, oparta wyłącznie na logice matematycznego wynikania, trzyma się tu wprawdzie jako schemat beletrystyki kryminalno-sensacyjnej, ale jakże grubym falsem razi wobec wszelkich innych kryteriów, a do nich przede wszystkim apeluje Balicki kiedy przeprowadza analizy psychologiczne, kiedy rozwija romans, a w epizodach bawi się w „szukanie opowiadania”.

Ludzie na zakręcie nie spełniają nadziei, jakie łączyliśmy z Balickim — autorem *Chłopców*, czy nawet *Dziewiętej Fali*. Uległ on szkolidowemu złudzeniu, iż zajmująca może być tylko „konstrukcyjna” powieść z problemem. A to jest bardzo względna prawda. Jeśli bowiem ten typ powieści realizuje autor wskutek tyranii panującej mody, to ostateczne ambicje pisarza zawsze zostaną wywiedzione w pole. Inaczej być nie może. Wplątany w zdradliwa, ale modną przygodę literacką, dał Balicki dęty problem, rudymenty sensacyjnej powieści i nastrojowość łatwego, ekliwirogo liryzmu.

*

ZBIGNIEW UNILOWSKI: *Pamiętnik morski*. Wyd. J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Zdawać by się mogło, że *Pamiętnik morski*, stanowiąc nową pozycję w modnej u nas po wojnie literaturze podróżniczej, tym samym modę tę przedłuża i umacnia. Przeświadczenia tego nie potwierdza jednak krytyczna refleksja. Książkę Unilowskiego dzieła co najmniej dziesięć lat od epoki Skamandra, w której to właśnie wybuchł pierwszy entuzjazm dla wypraw morskich. Sięgnijmy dla celów porównawczych po książkę Słonimskiego *Pod zwrotnikami*. Jest to dziennik okretowy z podróży do tej samej Brazylizii, z której bierze początek *Pamiętnik morski* Unilowskiego.

Kompozycja typowa dla dziennika czy pamiętnika. Znamionuje ją tendencja do anarchicznej swobody. Cokolwiek pobudziło naszą wyobraźnię, zostaje zapisane. Manu tu więc notatki o charakterze gromadzących się bezładnie spostrzeżeń. Bezład i różnorodność stwarza osobliwy efekt: utrzymuje w nieustannym napięciu ciekawość czytelnika. Jest wreszcie warsztatowa konieczność pisarza, który czeka na materiał i który w materiale widzi poezję. Bo dla Słonimskiego przedmiotem opisu są rzeczy widziane: przyroda, miasta, ludzie, obyczaje, przygody. Można powiedzieć, że poluje on na materiał, że czyha na moment obserwacji. A żaden go nie rozczarowuje. Jakże wyraźnie zdradza się w tym dzienniku witalizm skamandrycki. Samo życie jest poezją! Oto dlaczego opis rzeczywistości wyraża egzotykę, dzikość, nawet smutek, ale nigdy — nudę. „Ach, po tym kraju słońca... jak trudno będzie przywyknąć do szarego, pełnego troski życia w ojczyźnie”. Nie więc dziwnego, że podróż tę kończy żal. Była to podróż romantyczna.

Dziennik okretowy Słonimskiego należy jeszcze do czasu, kiedy zachwyano się u nas Londnem, kiedy Goetel odhylał swoje słynne podróże do Egiptu i Indii. Ale w *Pamiętniku morskim* aura tej epoki zdaje się

już nieprowrotnie zmierzchać. Widać to nawet w kompozycji. Luźne kartki dziennika Słonimskiego sprzyjały zapisaniu wszystkiego, bo też „wszystko” było dla pisarza malownicze. Podróż, którą odbywa Unilowski na niewielkim, towarowym okrecie, trwa 40 dni. Wyjazd z Buenos Aires, potem La Plantą na morze. Jako punkty topograficzne wymienić można tu jeszcze brazylijskie pasma Sierra do Marr, wyspę Fernandez Noronka, rónwík i... Hamburg. Nie są one jednak w tej książce ważne. Autor wcale nie ma zamiaru kłopotać się ich opisem, jak również rezygnuje z „opiewania” morza. Marynistyczne zachwyty są mu zupełnie obce.

Tak więc z pamiętnika został wyłączony właściwy dla literatury podróżniczej przedmiot opisu. Znikły: przyroda, miasta, obyczaje — została uporządkowana fikcja. Tworzy ją fabuła, zadzierzgnięta pomiędzy autorem, panem De. i kapitanem okretu. Na dalszym planie statystuje załoga. Fabuła jest niska w motywach i przebiegu, mocna natomiast przez znaczenie, jakim zabarwia w twór. Oto autor po całych dniach gra w karty z panem De. a kiedy nie gra, bawi się z kotkami albo szuka, przygląda się zalecankom dwóch kucharzy i stewarda, opala się, gapi na morze, śpi... i znów na tasmie pamiętnika potwarza z uporem te same, powszednie, byle jakie motywy. Nawet kiedy wychodzi na ląd (a zdarza się to kilkakrotnie), jest znów „woda”, dziewczęta i kaccenjaner, sam zaś ląd pozostaje dla autora i czytelnika „ziemią nieznaną”.

Tak zachowuje się człowiek, którego podróż nudzi. Nie ma w niej dla niego nic ciekawego. Toteż kapitan okretu w rysunku Unilowskiego wcale nie wygląda na wilka morskiego. Jest nijaki. Tyle się o nim wie, że stoi na swoim mostku kapitańskim, często pije, błądzące przy obiedzie w sposób tak rażący, że traci dla autora jakikolwiek smak atrakcji. W stosunku do rosyjskiego rezerbiarza Bogdanowa to samo: „nie nam ciekawego nie powiedział”. Co więcej, Unilowski zdobywa się na brutalność. „W te jego rzeźby dobrze by się strzelało do celu”. Cynizm urasta do roli obowiązku. Na „rzekome” uroki podróży nie można patrzeć inaczej — tylko cynicznie. „Jedność tych dwóch — morza i słońca — dręczy brakiem szerszego tematu. Po prostu nie tu się nie dzieje; sama uroda. To nie dla mnie”.

Wyraźnie fikcyjną figurą jest pan De. Podkreśla „opowieściowy” charakter pamiętnika, a poza tym partneruje na zawołanie autorowi. Unilowski uczynił z niego rykaturę „zachwyconego podróżnika”. Pan De wypowiada się w takich zwrotach: „Ach, jaka cudna jest ta przyroda!” lub „co za temat... można by opisać... tam akcję — panie — umieścić, to — panie — materiał niesłychany...”. Autorowi zaś nie chce się prowadzić z nim podobnej rozmowy i w ogóle kpi sobie zeń programowo.

I to sztyrdzewo okazuje się nowym raturkiem przed nudą. Bo od nudy wszyscy na tym okrecie starają się wykręcić i wszyscy prawie na ten sam sposób. Nuda więc z krajobrazu, ogólniej: ze świata podróży, Świat ten nie uderza żadną atrakcyjnością, nie ma w nim nic romantycznego. Widać tylko meczy, sprowadza chandrę i trzeba się przed nim bronić, uciekać przed jego dręczącą „pospolitością”. W stosunku do osnutej poetyczną mgiełką turystycznej wycieczki Słonimskiego sens tej podróży jest bliźnierz i wyzywający. Morderczą nudę zabija się tu przez emocje z podróży zupełnie nie związane. Ekscytują stare, ładowe, mieszczańskie namietności: karty, dziewczęta i woda. W ten sposób Unilowski odbrzydował tradycyjną konwencję literatury po-

drożniczej. Cały wysiłek autora skupia się na chwyce poetyckim „umiezwyczenia” i w rezultacie odkrywa nie jeszcze jedną wyspę, czy niezwykły obyczaj, lecz nowy schemat literacki. Ten ambitny zamiar okupiony jednak został wieloma stratami i to właśnie — poetyckimi. Prawda, że elementowi fikcyjności zawięzająca Unilowski zorganizowanie pamiętnika w całość fabularną. Nawet więcej: fabuła wyrugowała to podróży, skoncentrowała uwagę na problemie nudy. Fikcyjność zatem przez uproszczenie i skupienie kompozycyjne uderzyła silnie w schemat podróży romantycznej. Ale jej natarcie spostrzeżliśmy i zrozumielśmy już po dwudziestu stronach. Gdy tymczasem „nuda tajemyczna” ciągnie się pośród kilku nieciekawych osób i wąskiego zakresu spraw do ostatniej kartki pamiętnika. Wytworzył się więc wcale nie zamierzony efekt: nudność samego utworu. Luźna kompozycja dziennika Słonimskiego zaciękawiała, bo za zamianiała z wciąż nowymi obserwacjami. Gdyby Unilowski szedł np. krok za krokiem po szlaku Słonimskiego i wszelkie „osobliwości” odbrzydował na miejscu, zachowałby zdolność „zaciękawiania” do końca i co więcej, jako artysta, odniósłby pełny sukces. Tak jak jest, Unilowski wyczerpał się w gęście zanęgowania podróży romantycznej. Droga, na którą wkroczył, jest drogą ustawicznego ograniczania się, rezygnacji z wrażeń i obserwacji. A bez nich jednak poezja nie wzrasta, lecz się kurczy. Toteż nawet „fikcja”, przy pomocy której pamiętnik przeobraził się w opowieść, pozostała pełna... niewykorzystanych możliwości. Unilowski musiał zrezygnować z subtelniejszej i wnikliwszej analizy psychologicznej, ponieważ ta otwierała perspektywę sensacji, a przecież postacie miały programowo nudzić autora, nie zaś intrzygować. Nudziły też po trosze i czytelnika, który myślał sobie wówczas o niezniszczalnej sile poezji tworzącej, a nie burzącej, poezji zadziwiającej wszystkim, a nie — wszystkim znużonej.

JAN ALEKSANDER KRÓL

TADEUSZ SZYMBERSKI: *Sady*. Kompozycja sceniczna. Stron 242. Warszawa 1936. Skład Główny: Dom Książki Polskiej.

Na te impasu twórczości dramatycznej każda premiera polska i każdy dramat książkowy posiadają swoją wagę. Toteż krytyczne ustosunkowanie się do tych zjawisk wydaje się arcytrudne. Bo nie podobna oprzeć się pewnej dwójności stosunku, skoro te zięcia lukę wypełniają sztuki nieudane lub słabe, które w normalnych warunkach zechępnilibyśmy bez skrępowań do makulatury. A dzisiaj stanowią one pozycję i to niestetyczną pozycję szkła.

Dramat Szymberskiego jest pomyłką. Dialogowanie i nagromadzenie tłumy wizerunków postaci nie warunkują jeszcze dramatu. Dramat to przede wszystkim konstrukcja, na której rozpięta jest dialektyka treści wewnętrznej, wyrażającej się w logice formalnych następstw. Od konstrukcji nie zwalniana żaden liberalizm liryczny, czy wizyjny, gdyż jest to podstawa wszelkiego artystycznego myślenia. Już sam fakt, że na 240 stronach przelewa się i klebi jedyna scena dramatu, choćby to postulował misteryjny charakter widowskiego, naprowadza na brak dyscypliny u autora. Niewyrażona problematyka *Sadów* posługuje się symboliką Wypsińskiego i Rostworowskiego. *Si compare licet* w swojej religijnej mistyce naprowadzają *Sady* na obecność wpływów *Everymana* i *Charitas*. Jest to w gruncie rzeczy jednak alaby liryczno-filozoficzny dramat, którego nie ratują dobre chwytły nastrojowe i niewątpliwa swoboda wierszowania.

MARIAN NIZYŃSKI

ROMAN KOŁONIECKI

UROKI KRZEMIENIA

CZYLI O AKWAFORTACH LEOKADII BIELSKIEJ

Leokadia Bielska jest już obecnie jedną z najciekawszych i najpełniejszych indywidualności malarskich młodego pokolenia. Opuszczyła pracownię prof. T. Pruszkowskiego w Akademii Sztuk Pięknych wraz z tym rocznikiem, który przybrał następnie zbiorową nazwę Szkoły Warszawskiej — wyzwała się wkrótce z wpływów macierzystej uczelni, by pójść własną, chwalebnie samotną drogą artystyczną. Prace jej, nacechowane od samego początku gorączkowym niepokojem poszukiwań, wylamły się szybko pod wspólnym mianownikiem Szkoły Warszawskiej przez swe fanatyczne eksperymentatorstwo i buntowniczą odrębność.

Portrety Bielskiej, pełne siły wyrazu i dramatycznej głębi, a zarazem podporządkowane bogactwu problematyki czysto malarskiej — zdolały już zdobyć sobie zasłużone uznanie. Na ostatniej międzynarodowej wystawie w Brukseli zaszczytnie odznaczony został znakomity portret s.p. Adama Skwarczewskiego, wystawiany także w swoim czasie w Instytucie Propagandy Sztuki. Poza niezwykle inteligentną, skomplikowaną koncepcją treści malarskiej — triumfem Bielskiej w tym plonie było wydobywanie wewnętrznej prawdy modelu, odwołanie jego typu psychologicznego, tak wyraziste, że przechodzące niemal w ekspresjonistyczną symbolikę i nastrojowość. Bardzo również przychylnie przyjęte zostały przez krytykę inne portrety Bielskiej (np. „Dama w czarnych rękawiczkach”); dla ludzi o wyrobionej kulturze plastycznej przedstawia ona, jako portrecistka, klasę samą dla siebie. Natomiast nie oceniono należycie jej „Kompozycji”, wystawionej na Salonie Malarskim 1937; niezwykle zawiła, z ściągniętą wirtuozowską swobodą wydobytą harmonia kolorystyczna tego płótna, uzyskana przez zastosowanie szeregu trójtonowych akordów barwnych, godna jest żywej pochwały; widać w niej dojrzałość wizji i dyscyplinę intelektualną.

Nie był to wcale przypadek, że zwróciła się ku grafice Bielska zainteresowała się przede wszystkim akwafortą. Akwaforta nie wymaga — w tym stopniu co np. miedzioryt — rutynny czysto rzemieślniczy, umiejętnego doboru żel i zawilego stopniowania siły nacisku ręki rytownika. — Jest więc technika, przedysponująca kobiecie doskonale odpowiadająca: poza tym — w akwafortie łatwiej można wyzyskać doświadczenie, zdobyte przy malowaniu olejami. Wielką rolę w malarstwie Bielskiej odgrywa zasada t. zw. prawdy materiału: płótna jej odznaczają się charakterystyczną chropowatością powierzchni, będącą wyrazem różnolitej substancji farb; faktura ich, kunstownie narastająca i urozmaicona, włącza każde dotknięcie pędzla w łańcuch osiągnięć ekspresyjnych. Odpowiednikiem tej cechy olejnych obrazów Bielskiej jest w akwafortach

ich zawiłość linearna; kontrast walorów przetransponowany tu został na całą wielostopniową skalę zagęszczenia kreski, co stanowi w rasowym rytownictwie właściwość gatunkową.

Akwaforta pozwala artyście na całkowitą swobodę kształtowania i utrwalenia wizji „na gorąco”, w najdrobniejszych niemal szczegółach. Toteż technika ta, zastosowana po raz pierwszy przez Wacława z Olomuńca (prawdopodobnie około r. 1496) stała się dla artysty nowożytnego prawdziwym odkryciem Ameryki. Rzemiosło miedziorytników, oparte na natchnionej precyzji oka, nieomyślnej sile ręki i trafnym dostosowaniu kalibru ryłka, ustąpiło odąd pierwszeństwa technice na polu laboratoryjnej, gdzie planowana jakość kreski zależy także od długości wytrawiania płyty i mocy użytego kwasu. Naukowa technika zastąpiła prostoduszne rekordzielnictwo artystów średnio-wiecznych. Akwaforta stała się od tej pory ulubionym środkiem wypowiedzi każdego dojrzałego malarza; pociągnęła ona również wielu malarzy współczesnych.

Tęka krzemieniecka nie stanowi debiutu Bielskiej jako akwaforcistki; już przedtem wykonała ona cykl plansz do poematu Sebyle *Koncert egotycki*. Były one tylko subiektywnymi interpretacjami cudzych sugestii poetyckich i dlatego krepowały artystkę. Dopiero plansze krzemienieckie wykazują pełnię jej możliwości w tej dziedzinie twórczości graficznej. Jest ich 18 i wiąże je ścisły plan kompozycyjny: rozpoczyna cykl akwaforta wstępna, po niej następują „Licium” (4 plansze), „Krzemień szlachecki” (4), „Architektura mieszczańska Krzemienia” (8), wreszcie — akwaforta, która tekę nastrojowo zamyka. Otwarcie: widok z okna na górę Bony — pejzaż wlewa się jakby do wnętrza mansardy — wierzchołek wieży kościelnej na jednym planie z sieląk doniczka i dzbankiem. Zamknięcie: okienko nad dachem — łodyżki kwiatu, jak gdyby rwące się w przestrzeń, powiew wiatru widyma lekka firanka na zewnątrz. Te dwie akwaforty, dwie piękne klamry liryczne, mówią już same o pomysłowym układzie teki, utrzymanej w miłych sepiowych tonach.

Pojedyncze plansze trzech zawartych w niej cykłów można by zróżnicować normowanym jakby programowo zasięgiem oka: spotykamy tu więc zarówno całosciowe ujęcia szeroko rozplanowanych pejzażów, w których wszystkie szczegóły poddane są założeniom konstrukcji epickiej, jak i drobne, głębokim liryzmem tchnące fragmenty, wyłowione spojrzeniem odkrywczym i zachłannym. Na peryferiach wizji ogólnej, obiektywnie danej i obecnej, najobszerniejsze wartyściowanie uczuciowe odnajduje i wyodrębni kompozycyjnie skrawki niespodziane i zdawało by się przypadkowe, pełne tajemniczego wdzięku.



KRZEMIENIEC U STÓP LICEUM

Te dwoistość planu wzrokowego przetwarza Bielska na obrazy przedziwne płaskie, nabrzmiałe wewnętrzną ociężałością, której monotonia rozprasza czasem świadomie gwałtownym, prawie groteskowym skrótem perspektywnym, urozmaica dociągającą hierarchiczną ich równowagę. Stąd właśnie biorą się owe zabawne uliczki przedmieścia — jak gdyby rozhuśtane, podskakujące, zneruchomiałe na chwilę w powietrzu. Czasem jednak — na wzór średnio-wiecznych iluminacji — ustawia Bielska domy na dachach, spietrza jak w piramidzie, której szczyt wieńczy mur licealny jako wartość w symbolicznej hierarchii najwyższą — na podobieństwo kościoła nad gotyckim grodem, przynajmniej swym brzemieniem wszystko pozostałe: mieści się w tej przenośni tradycyjna idea kultury.

Przeciwagą dominującego w grafice Bielskiej elementu statyki jest nie czysto ornamentacyjne, lecz raczej funkcjonalne traktowanie kreski, wprowadzające do akwaforty rytm celowych kontrastów i upodobnień, magiczną dialektykę form. Zestawiając np. przysadzisty, ciemny, nabity sękami pień rosochatego drzewa ze strzelistą prostotą i bielą kolumnienek empirowego pałacyku — artystka osiąga efekt osobliwy i mocny, podkreślony jeszcze samą fakturą linearną: kreska niespoistą i wibrującą. Tymi samymi środkami upodabnia kontury obłych pagórków do kopuł cerkwi i spadzistych, nieforemnych dachów, zespalając na wskroś poetycko przyrodę z architekturą.

Kreska rytownicza w akwafortach Bielskiej jest niezwykle delikatna, lekka i płynna, dzięki czemu niektóre plansze przypominają swą subtelnością rzadko uprawiany u nas rodzaj grafiki, mianowicie fluoroforty. Zachwycająca lotność linii sprawia, że otrzymujemy pejzaże niejako odmaterializowane, rozświetlone powietrzem, nasycone głębią i przestrzenią, mimo że intencjonalnie dwuwymiarowe. Bielska operuje kreską oszczędnie i precyzyjnie, budując formy jakby niedopowiedziane, a jednak wyczelowane i sugestywne; właściwość ta spokojnie jej grafice z pewnymi rysunkami Fojuty o ascetycznym a pełnym wyrazu kształcie.

W jednej z plansz, zakomponowanej pomysłowo wzdłuż przekątnej, profile wież kościoła licealnego wtapiają się w niebo i w równie jak niebo przezroczysty pejzaż od dołu. Domy na przedmieściu — galaretowate, elastyczne, jak gdyby powyginaane od wiatru, fantazyjnie wyokrąglone — są z substancji czysto poetyckiej; każde drzewo wykwiata wiotkim, puszystym obłoczekiem; zwykła szkapka u Bielskiej wychodzi zgrabna i pełna niedbalej gracji, wóz półwiejski jest chyba wozem z miękkich pakul, nie zaś

z tęgich stwardniałych dylów; krągły uliczny słup z blachy przypomina raczej stóg foremny, utkany z miękkości siana. W tym na polu astralnym świećce panuje duch poezji, prawodawstwo dziecięco naiwnej fantastyki. Bezki przed drzwiami jednego z budynków gospodarczych Liceum, podpartego potężną szkapą, zaś na pierwszym planie rozłożyste drzewo i pod nim laweczka z martwą naturą: — to jakby karczma „Rzym”, — jakby sam Pan Twardowski miał się tu zjawić za chwilę na poobiednią drzemkę... Masyw cerkwi wygląda jak zabawne pudelka w pudelkach, dzwiczynny z koromysłami — jak tancerki *sur les pointes*; dziecko stoi zapatrzone w trawę, jak w porosłe wodorostami dno morza — na kraby, koralu, perłoplawy, rozgwiady i algi.

Ustawiona aktywność wyobraźni, jaka się w krzemienieckich akwafortach Bielskiej przejawia, nie ciąży jednak wcale ku abstrakcyjnej sielance. Wizje, utrwalone w tej tece, obejmują Krzemieniec jako realny i ściśle określony twór cywilizacyjny — staroświeckie kresowo-polskie miasteczko, półwieści włościwie, z tymi wszystkimi nawarstwieniami historii, które w nim istnieją dotychczas. Mamy tu zeszlowieczone prymitywne dworki szlacheckie, jakby z gliny białej lepione, przywodzące na myśl pamiętne słowa Norwida o szlachciku, co to „widział Apollina i Skopasową Milejską Wenere, a wyprowadzić nie umie komina, w ogrodzie krzywo zakreśla kwatery”; mamy także zabawkową architekturę mieszczańską — wielofrontowe drewniane dworki, powypaczone filigranowe ganezki, zaulki kręte i dziwnie zabudowane.

Brama wjazdowa zaniedbanego dworku technie zalosnym opustoszeniem... Zawiasy powypadały, pordezwały „na amen” zasuw, deski powoli próchnieją. W zaulkach, wśród szecerbatych, koslawych płotów i przygarbionych ścian, ludzie — jak płaskie sylwetki — upozowani w spokoju, dekoracyjnie, nieruchomo... Osnuci poczaja gnusnego snu, letargicznego półżycia, urzeczenia. Uchwyceni jakby migawkowo w byle jakiej fazie bezlitosnego przemijania. Bije w tych obrazach wewnętrzny puls dramatyczny, pokryty zupełnym bezruchem — niemyym wydziewkiem obumierania okrąży smutne ulice tego wolińskiego miasteczka, które było niegdyś bastionem żywej kultury i polskości. Przez to ujęcie *in flagranti* działania leniwych żywiołów czasu — akwaforty Bielskiej są pełną wymowy próbą mitologizacji rzeczywistości, o aktualnym i poważnym wydziewku ideologicznym: niech by jeszcze miły Krzemieniec, na wieloletnich złoach swych twórczych dzieł w kulturze, nowy żywot rozpoczął, ruszył za całym krajem, w pochod zwycięski — z siłą miliona HP!

ROMAN KOŁONIECKI



BRAMA WJAZDOWA DWORKU SZLACHECKIEGO

PRZEGLĄD PRASY

TEMPO
TEMPERATURA
TEMPERAMENT

Śmierć Józefa Ujejskiego przyszła tak niespodziewanie i nagle, że dotąd nie możemy się pogodzić, oświadczyć z tą stratą. I niełatwo zdać sobie sprawę nad świeżą mogiłą z istotnej treści i sensu tego, przeciętego w połowie, żywota. Bo Ujejski jako badacz i jako człowiek był do głębi tajemniczy, nieuchwytny — w równym i podobnym sensie co bohater jego ostatniej książki: Conrad Korzeniowski. Scisły filolog, uzbrojony w precyzyjne narzędzia metody pozytywistycznej, nie zawsze godził się dobrze z człowiekiem, zamysłonym nad ideologią narodową romantyzmu i jej żywą spuścizną, serdecznie związanym z „przedmiotem” swych badań. W dziełach jego wyczuwa się tę antynomię; jest w nich gdzieś, u spodu, jakby marzenie o mitologii literackiej w stylu Bertrama, Gundolfa — ale marzenie surowo ujęte w rzyzy dyscypliny filozoficznej. Tylko w przemówieniach Ujejskiego, w przygodnych szkicach i zwłaszcza w jego książce ostatniej ta skryta twórczość wyraża się, choć zarazem bardzo dyskretnie, dochodzi do głosu.

W tej chwili nie podobna wydać sądu jasnego i pełnego o życiu i dziele Zmarłego. Wspominamy Go i żałujemy. Piękną i trafną próbę charakterystyki autora *Dzieł o meşjanizmu* dał prof. Julian Krzyżanowski (*Gazeta Polska* z dn. 10 lipca). Czytamy tu m. in.: „Interesował go przede wszystkim ten ogromny splot zjawisk, który określany mianem Romantyzmu, a który mimo wysiłków kilku pokoleń i setek najczystszych pracowników wciąż nęściła tysiące zagadek... Nie był jednakże filologiem poprzestającym na ekonomicznej roli komentatora tworu literackiego. Należał raczej do galerii tych uczonych, których dzieło literackie interesuje w pierwszym rzędzie jako manifestacja indywidualności ludzkiej i jako wyraz pewnych procesów społecznych... Ujejski był wręcz powołany do napisania dzieł o meşjanizmie polskiego. Na uczonemu tak rozmiłowanemu w problematyce tego ruchu i tak w nim zorientowanemu lata całe czekać wypadnie, może nawet bezowocnie, droga bowiem do rozwiązania tego problemu wiedzie przez tereny nie tylko intelektu ale również uczucia”.

Dwie sprawy były w ostatnich tygodniach przedmiotem żywych dyskusji literackich. Pierwsza — to sztuka Jerzego Zawieyskiego o Przyleckim. Zapoczątkował tę dyskusję list Moniki Żeromskiej, kwestionującej prawo autora do kontynuowania cudzego dzieła — naszym zdaniem (jak i ogromnej większości prasy) zupełnie niesłusznie. Dyskusja merytoryczna dała wyniki równie jednoznaczne. Prawie wszyscy krytycy Zawieyskiego (a sztuka jego poruszyła szerokie koła miłośników *Przyleckich*) zarzucali mu — pomniejszenie *Przyleckiego*. Rzecz ciekawa: w wydanym przed dziesięć laty z górą laty, bezpośrednio po premierze, szkicu o *Przyleckim* musiał W. Borowy bronić *Przyleckiego* przed niemal powszechnym atakiem krytyki; dziś bardzo nieśmiały, niekonsekwentny, nie doprowadzony do końca rewizjonizm Zawieyskiego wzbudza instynktowną reakcję. Zwyctwisto Żeromskiego za grobem czy może — nieporozumienie?

Żywym echem odbił się w naszej prasie literackiej ostatni zjazd Pen-Klubów w Paryżu. W *Czasie* Alfred Laszowski zamieścił kilka felietonów reportażowych, podkreślając wielką charakterystyczność dyskusji nad stylem współczesnym i nad przyszłością poezji. W osobnym artykule omówił referat A. Slonimskiego, poświęcony drugiemu z tych tematów; sądząc z omówienia, był to zbiór utartych sądów o wolności słowa i nieuniknionej rzekomo śmierci poezji w państwach totalnych. Powtórzył je Slonimski w swej „kronice tygodniowej” (*Wiadomości Literackie* nr. 29), wzmiankując przy tym o replikach Romainsa, Marinettiego i bardzo mocnym — jak twierdzi — przemówieniu G. Ferrera.

Nie zabrakło oczywiście na kongresie, pisze Slonimski, i sprawy żydowskiej. Delegat Pen-Klubu żydowskiego zarzucił pisarcom polskim bierny stosunek do gwałtów antysemitów; replikował na to Parandowski. Poza tym kongres uchwalił wniosek potępiający rozruchy antyżydowskie. Przytaczając ten fakt, Slonimski zaznacza, że w świecie intelektualnym wytwarza się w stosunku do

Polski atmosfera niechętna i podejrzliwa. —Inne zgoda refleksje snuje na marginesie zjazdu publicysta *Polski zbrojny w kulturę* (zob. nr. 16 z 1 lipca b. r.), Jandr. W artykule p. t. *Pacht-club* stwierdza on, że Parandowski jako delegat polski nie spełnił swego zadania, winien był bowiem przede wszystkim „przedstawić całokształt sprawy żydowskiej w Polsce choćby w najgrubszych zarysach”, ponadto zaś mógł podkreślić, że „kongres Pen-Klubów, jako instytucja literacka, nie jest kompetentny do rozważania tego rodzaju spraw, mających charakter polityczny. Że robienie z obrad kongresu wiecu filosemickiego jest wypaczeniem idei, której wielkim pionierem był znakomity pisarz polski Stefan Żeromski”. W dzisiejszym stanie rzeczy — zdaniem Jandra — zjazd Pen-Klubów staje się głównie trybuną międzynarodowego żydostwa.

W dyskusji nad ostatnimi książkami Suchodolskiego zabrał głos w *Gazecie Polskiej* (zob. nr z 4 lipca) L. Pomirowski. I on kwestionuje prawdziwość kreślonej przez autora *Uspolecznienia kultury* idylli o harmonijnej zgodzie sztuki i życia, sztuki i społeczeństwa w dawnych wiekach, i wówczas bowiem „wartości artystyczne i intelektualne tworzyła nie masa tytuła elita i reagowała na tę twórczość również nie masa lecz elita społeczna. Sztuka średniowiecza i sztuka renesansu były dziełem kilkuset artystów, którzy, jak to się dzieje w każdej natężonej epoce, wytworzyli pewien styl powszechny (moda, obyczaj, język i t. p.) ale masa powszechność tego stylu obejmowała tylko wybitne, reprezentacyjne objawy ówczesności”. Równie wątpliwy jest ideał kultury jednopokoleniowej. „Każdy szczebel, zawód i poziom życia wytwarza swoistą aurę psychiczną, posiada swoje indywidualne piękno i własną mądrość, bo każdy wynika z odmiennych elementów pracy i przyżycia i każdy objawia się w sobie właściwym stosunku do życia. Rzeczy tych nie trzeba dowodzić, jak nie trzeba przekonywać, że zagadnienie równości społecznej nie obejmuje równości psychicznej, ponieważ natura istnienia (przyrodzonego i ludzkiego) jest wielowarstwowa i wielopłaszczyznowa, i że tylko dzięki tej różnorodności twórcze życie jest walcząca, cierpiąca i rozwijająca się konstrukcją”.

Ilustracją tych słów Pomirowskiego może być ostatni (z 15 czerwca) numer *Okolicy poetów*. Pismo to gorąco propaguje upowszechnienie twórczości poetyckiej, umożliwiło ono i umożliwiło debiuty wielu młodym autorom, uważając to niejako za swoją misję. W ostatnim numerze *Okolicy* znajdujemy utwory pięciu debiutujących wierszopisów; niewesoło to obraz najmłodszej liryki, tak przecież bogatej... Ilość nazwisk. I jest w tym niepokojące memento dla tych, co domagając się słuszenie upowszechnienia, nie widzą groźby umasowienia twórczości; kiedy nie ma wysokich, ściśle określonych wymagań i sprawdzianów i lata się je „szczęścią”, „autentyzmem”, wówczas talenty nawet marnują się i wykołajają. Bez suro-

wego intelektualizmu i estetyzmu, jako miar dla twórczości i dyscypliny dla twórców, nie może być mowy o rzetelnych wartościach sztuki i myśli. *Okolica poetów* świadomie rozluźniła dyscyplinę, dopuściła — w jak najlepszej i zasługującej na szacunek intencji — szerokie rzesze piszących, ale brak określonych i wysokich kryteriów nie pozwala jej odegrać roli, do której była predestynowana — roli pedagogicznej.

Z drukowanych ostatnio artykułów krytyczno-literackich jeden zasługuje na wzmiankę. Artykuł ten ukazał się w *Gazecie Polskiej* (która już po raz trzeci cytujemy tym razem). Jest to dłuższa recenzja K. Czachowskiego z nowego wydania *Czarnych Skrzydeł*, co daje krytykowi sposobność do syntetycznej, świetnej charakterystyki Kadena.

„...Powieść Kadena-Bandrowskiego stanowi w literaturze polskiej nowy etap rozwoju a jego proza i w ogóle jego styl ekspresjonistyczny ma już indywidualnie u trwałe znaczenie o doniosłości przez nikogo z współczesnych mu nie dorównanej. W jego bowiem twórczości dokonano się na płaszczyźnie sztuki literackiej uświadomienie i wypełnienie przelomu, którym kultura przeżywania została wyparta przez kulturę działania.

W zakresie środków literackich oznacza to ogólne zdynamizowanie metody powzięciowej, dramatyczne uruchomienie całej osnowy, radykalny zwrot od opisu statycznego do przedstawienia witalistycznego, od impresjonistycznej kontemplacji do ekspresjonistycznej intensywności, od analizy psychologicznej do syntezy charakterologicznej, od gładkiej płynności realistycznego opowiadania do bezustannej aktualizacji celowo dobranych i mocno wypukłych wglądów w powstające przed oczami czytelnika życie człowieka i środowiska społecznego”.

Oświadczenie

W rubryce naszej „Przełąd prasy” (*Pion*, nr. 26) zreferowaliśmy w krótkich słowach artykuł prof. Życzynskiego o nowinkarstwie w polonistyce, zamieszczony na łamach *Prosto z Mostu*, zaopatrując go w ocenę z własnego punktu widzenia. Wzmianka powyższa prof. Życzynski uczuł się głęboko dotkniętym, a nawet skrzywdzonym, czemu dał wyraz w ostatnim nrze *Prosto z Mostu* i w prywatnym liście do redakcji *Pionu*.

Jakkolwiek nie jesteśmy dobrego zdania o pracach naukowych prof. Życzynskiego i o jego artykułach, w czym zresztą nie jesteśmy osobolnieni — nie mieliśmy wcale intencji obrazić p. Życzynskiego, jako człowieka i profesora, i dlatego za użycie ostrych i napaśliwych słów niniejszym bardzo Go przepraszamy. Czynimy to nie na skutek groźby pociągnięcia redakcji *Pionu* do odpowiedzialności, lecz dla zaznaczenia, że nie było wcale naszym zamiarem ani krzywdzenie ani tym bardziej znieważanie prof. Życzynskiego.

TEATR ATENEUM



„ZAZDROŚĆ I MEDYCYNĄ” — OBRAZ V
(Dekoracja St. Cegielskiego)

TEATR POLSKI: *Papa*, komedia w 3-aktach G. A. de Caillaveta i R. de Flersa.

Rozpoczynająca się obecnie coroczna kalendarza zainaugurowała w warszawskim życiu teatralnym okres wznowień. Nie budzi zdziwienia fakt, że aspiracje repertuarowe maleją w tym okresie proporcjonalnie do wzrostu lipowej temperatury; gorzej jest z poziomem reżyżerskim i dekoratorskim tych dorocznych „wznowień”. Reżyser *Papy* nie uważał nawet za stosowne umieścić swe nazwisko na afiszu; wypożyczone na scenę meble trzeszczą pod aktorami; gryzacz czyfiolowe wnętrza aktu II-go jest okropne.

A sama sztuka? Nie jest to jej pierwsze wznowienie: znany dobrze zarówno tego wielkoparyskiego pape, jak i jego prowincjonalnego syna. W komedii tej pociąga nas przede wszystkim urok świetnej techniki sceniczej, podziwu godnej lekkości dialogu i dowcipu sytuacyjnego, sentyment już nieco starsowiecki, humor taktowny i niezafalsonowany. Jest w tym wszystkim prawdziwa raso i kultura.

Junosza-Stepowski zbudował tytułową rolę z jednolitej substancji komediowej świętego gatunku, dał hr. de Larzac życie i wielkie obycie towarzyskie, zachwycającą naturalność gestów i pów; postać wypadła gładko i bezblednie. *Włoszyski* był zbyt może dyskretnym, za mało charakterystycznym księdzem *Jocas*; pamiętamy w tej roli Fertnera, który nadawał jej ton farsowy, co szło roli na zdrowie; postać księdza *Jocas* — w intencji autorów — najwyraźniej skłania się ku farsowemu przerysowaniu. Z pozostałych aktorów najlepsze wyrazy należą się *Lidii Wysockiej* (Janka Aubrin); niepotrzebnie tylko wydłużona była kłwiwa scena niema w akcie I-ym.

Zresztą — wszyscy wykonawcy wnieśli w przedstawienie dobre komediowe tempo, temperaturę i temperament.

R. K.

Odpowiedzi Redakcji

Panu A. K. Łódź. — Wiersz nie będzie drukowany.

Panu Z. S. Rembertów. — Nowela nie będzie drukowana. Rękopis do odobrania w redakcji.

Panu Br. W. Ostrów Wlkp. — Bajka nie do druku. Do p. Fryderyka można pisać na adres redakcji *Pionu*.

Panu J. S. Przecorsk. — Wiersze nie do druku.

W SPRAWACH KONKURSU

Godło „Rostoka” — Nowela *Dług* jest w redakcji. Była wymieniona w wyklicie.

Godło „Romair” — Nowela p. t. *Niesławotwa historia* została dopuszczona do konkursu z warunkiem nadesłania zaklejonej koperty opatrzonej godłem a zawierającej wewnątrz adres autora (por. *Pion* nr. 19, z dnia 13 maja r. b.).

Godło „Jadinga” — Odpowiedzi udzielamy tylko w nin. rubryce. Konkurs zostanie rozstrzygnięty w pierwszych dniach września.

Godło „Taka sobie historia (Nin)” — Noweli p. t. *Wint* nie otrzymaliśmy. Prosimy o nadesłanie maszynopisu.

Panu T. W. Warszawa. — Nowela *Mścicie* nadesłał. Prosimy o nadesłanie zaklejonej koperty, zawierającej adres autora. Nowela jest w czytaniu.

Panu S. S. Sędziszów. — Rękopisy obu nowel wysłamy po otrzymaniu znaczków pocztowych.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

FRANCISZEK OLECHNOWICZ: *Przedo o Societach*. Warszawa 1937. Nakładem autora.

LUDWIK RATH: *Aleksander A. F. Bronikowski*. Rostki i dzieł powieści polskiej. Lwów 1937. Nakładem „Filomaty”.

TADEUSZ TESLAR: *Polityka Rosji Socyetyckiej podczas wojny z Polską*. Trzy momenty. Warszawa 1937. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

L. F. CÉLINE: *Mea culpa i życie i dzieło F. I. Semmelweis*. Przetłóżył Kazimierz Bukowski. Lwów — Warszawa — Kraków. Wydawnictwo „Globus”.

L. F. CÉLINE: *Mistr Courtial (Śmierć na kredy, część II)*. Przetłóżył dr P. Stark. Lwów — Warszawa — Kraków. Wydawnictwo „Globus”.

Rocznik Gdański, organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Gdańsk 1937.

ALEKSANDER KOSIBA: *Greenlandia*. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 17 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznic 18 zł. za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konfo P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Wilam Horzyca